

KLUB NADWAŻNYCH

ODWAŻ SIĘ!



RENATA TARCZYŃSKA

KLUB NADWAŻNYCH ODWAŻ SIĘ!

RENATA TARCZYŃSKA
RENATA TARCZYŃSKA

BookEdit

Copyright © Renata Tarczyńska, 2026

Projekt okładki: Kasia Tarczyńska

Grafiki: Kasia Tarczyńska

Redakcja: Magda Ceglarsz

Korekta: ERATO

e-book: JENA

ISBN 978-83-68750-07-2

Wydawca

BookEdit

tel. 512 087 075

e-mail: redakcja@bookedit.pl

www.bookedit.pl

facebook.pl/BookEditpl

instagram.com/bookedit.pl

*Wszystkim kobietom,
które były, są lub będą Nadważne.*



Odurzający, wygrzany sierpnim zapach lip na Poniatowskiego prowadzi w kierunku morza. Towarzyszy mu aktywne, monotonne brzęczenie pszczoł uwijających się wśród pachnących kwiatów. Klara kolejny raz, porwana zapachem, idzie w kierunku widocznej z oddali tablicy z napisem „Wejście 29”. Jest tak wiele wejść prowadzących na sopoczką plażę, ale ona wybrała właśnie to. Dlaczego? Ulica Księcia Józefa Poniatowskiego ma zaledwie osiem numerów, ale za to jakich! Nie ma tu żadnego nowego domu. Wchodząc od Parkowej, po lewej stronie mija się dużą, ponad tysięczmetrową parcelę, na której kiedyś stał niepozorny rybacki domek, a pewnie wkrótce stanie nowy, nowoczesny hotel i zakłóci szept starych, ponadstuletnich domów. Idąc, przywołuje długą historię dziś milczących, ogrodzonych i starannie zamkniętych willi.

Po prawej dom z wieżyczką. Pięknie staraniem mieszkańców odnowiony, odgradzony od ulicy kutym płotem na podmurówce z murowanymi, zwieńczonymi kulami, słupkami. W podwórku, niegdyś otwartym dla wszystkich, stara prawie stuletnia, wysoka dziś na ponad trzy piętra, grusza. Jeszcze niedawno okoliczne dzieci buszowały w jej gałęziach, zrywając późne, słodkie owoce. Dzieci dorosły, poszły własną drogą, a grusza ogrodzona, zapomniana, przestała wydawać owoce, choć każdej wiosny obsypana jest bogato kwiatami.

Willi Rosa to następna pełna burzliwych losów willa. Od wybudowanej w 1904 roku rezydencji (przy dawnej Parkstrasse), Ernsta Claaszena, po wojnie zwanej „bierutówką”, oddziela ją płot. W 1910 roku ulicę przemianowano na Ernststrasse. W wyniku powojennego kryzysu Ernst August Claaszen w 1924 roku popełnił samobójstwo. Rodzina sukcesywnie pozbywała się majątku i w 1928 właścicielem rezydencji został Oskar Meltzner, właściciel odlewni żelaza w Gdańsku. Po wojnie przejął willę ówczesny prezydent RP Bolesław Bierut. W latach 1945–1949 mieszkał tutaj Eugeniusz Kwiatkowski, a w latach pięćdziesiątych Józef Cyrankiewicz z Niną Andrycz. Ryk czerwonego porsche, syna premiera Jaroszewicza, jadącego ze znaną piosenkarką na nocleg do rezydencji, burzył ciszę na Poniatowskiego. Od 2001 roku mieści się tu Muzeum Sopotu.

Naprzeciw jest wybudowany w 1925 roku pensjonat Wanda, niestety niezbyt zachęcający do wizyty. Po przebudowie dwa kamienne lwy u podnóża stromych schodów skutecznie bronią wejścia. Zwieńczeniem

ulicy jest drewniana buda o dumnej nazwie Tawerna Złota Rybka. Namalowany na okiennicach i nad oknem żółty krokodyl radośnie szczyrzy kły i zaprasza. Właśnie tu Klara kończy kolejny spacer, zamawia podwójne białe i... Kolano, łokieć, kolano, łokieć... sto pięćdziesiąt, dwieście, kolano.

– A ty, taka gruba, dlaczego przyszłaś na siłownię?

Klara przerwała ćwiczenie i rozejrzała się wokół. Spostrzegła wycelowany w siebie palec.

– Ty do mnie? – Zdziwiona patrzyła na stojącego obok młodego mężczyznę.

– Tak, do ciebie – potwierdził młody.

– Ja gruba? – zdziwiła się Klara. Pierwszy raz w życiu ważyła poniżej stu kilogramów.

– Wiem, przecież jestem lekarzem. – Adept medycyny sam udzielił sobie odpowiedzi. – Zaczyna się cukrzyca, miażdżyca, wysiadają ci kolana.

– Przestań – przerwała mu Klara. – Postaraj się zrozumieć, nic się nie zaczynało, wszystko się kończyło, wchodzenie po schodach, bieganie i seks. Zacznie się dopiero teraz. Właściwie już się zaczęło...

Jesień. Klara wyjęta z szafy ciepłe rzeczy. Przymierzała. Wszystkie za ciasne. Nawet buty były jakies za małe. Pasował tylko szalik. Kasia, koleżanka, której się zwierzyła, niedawno urodziła synka, i znalazła radę.

– Wiesz, mam po ciąży taki ogromny, dobrej firmy płaszcz. Szary, świetnie skrojony, nie przyciąga uwagi. Zmieścisz się w nim bez kłopotu i jakoś zima przeleci...

KLARA od wielu lat mieszka w Sopocie przy krótkiej ulicy prowadzącej do morza. Na końcu jest wejście na plażę. „Wejście 29” – informuje tablica. Dlaczego tylko wejście? Kolejny raz zastanawiała się Klara. Przecież zawsze powinno być też wyjście. A może są takie sytuacje, że nie ma wyjścia, tak jak wniebowstąpienie? Nie słyszała o „niebowystąpieniu”. Jej przez wiele lat wydawało się, że jest w sytuacji bez wyjścia.

Teraz zbliżają się jej pięćdziesiąte urodziny i z tego powodu postanowiła coś w życiu zmienić. Tylko, co? – zastanawiała się. Może schudnąć? Zapisać się na zumbę? Pojechać na Madagaskar? Zwykle napadały ją te myśli w Złotej Rybce, budzie stojącej na końcu jej ulicy. Nazwa brzmiała Złota Rybka, a symbolem miejsca był żółty, groźnie szczerzący zęby krokodyl. Miała tam swój stolik, przy którym samotnie przesiadywała, jedząc duże porcje frytek i pijąc białe wino. Pozornie ignorowała spojrzenia i uwagi „życzliwych” turystów, jedzących smaczne, smażone ryby. „Patrz, jaka gruba i wcina frytki”. Udawała, że to nie o niej. Fakt, gruba była. Przestała się ważyć, gdy osiągnęła sto dwadzieścia kilogramów. Przyczyna była prosta, skończyła się skala domowej wagi.

– Idź na pocztę, zważ się na tej wadze do ciężkich paczek! – doradzali znajomi, zadowoleni z dowcipu.

Śmiała się razem z nimi.

Upalne lato, koniec sierpnia. Turystów w Spocie coraz mniej. Wąska plaża przy wejściu 29 trochę opustoszała, ale stoliki w Złotej Rybce wszystkie wciąż zajęte. Chętnych nie odstraszał nawet groźny krokodyl.

Klara zamówiła „podwójne białe” i przeciskając się ruszyła do swojego stolika. Ze zdumieniem spostrzegła, że jest już zajęty. Szpakowaty, przystojny mężczyzna w skupieniu wyciągał właśnie ości z leżącej przed nim na talerzu dużej fladry.

– Zawsze tu siedzę! – poinformowała intruza, bez słowa „przepraszam” postawiła wino na stoliku i usiadła naprzeciwko flądrożercy.

– Ja też – odpowiedział mężczyzna, nie przerywając wyjmowania ości. Nagle jednocześnie wybuchnęli śmiechem.



PAWEŁ

Przepraszam, nie zawsze, tylko wówczas, gdy pani tutaj nie ma – uzupełnił mężczyzna. – Przyjeżdżam tu dwa razy w tygodniu, bo opiekuję się wiekową ciotką, która jest coraz mniej samodzielna. Przychodzę do Złotej Rybki na obiady. Zauważyłem, że pani zajmuje ten stolik.

– Zauważył pan? Mnie? No tak... jestem widoczna.

– Paweł. – Mężczyzna wstał i lekko skinął głową.

– Klara – wyjąkała zaskoczona i umilkła. Spozregła niezwykle urodę mężczyzny. Zgrabną sylwetkę, śniadą cerę, piękne dłonie i niezwykle czarne oczy.

– Dzisiaj, tylko „białe”? – zapytał Paweł, zerkając na jej kieliszek.

– Czy przez takie czarne oczy świat jest czarny? – odpowiedziała pytaniem, patrząc mu w oczy.

Roześmiał się.

Klara była nadal spięta i dziwnie zawstydzona. Czuła swoją inność i nie rozumiała zachowania Pawła.

– Jesteś paleontologiem czy preparatorem? – zapytała, wskazując na starannie posegregowane na talerzu ości flądry.

– Nie, jestem nauczycielem matematyki tuż przed emeryturą. Tangensy, cotangensy, potęgowania i całki. Uczę w liceum. A ty, Klaro, czym się zajmujesz?

– Ja? Zajmuję dużo miejsca, jak widzisz – usiłowała nieudolnie żartować. – Nie mam zobowiązań, tak się jakoś ułożyło. Nie wiem, czy jest mi z tym dobrze, czy może nie. Jestem nauczycielką języka rosyjskiego. Też uczę w liceum. Lubię moją pracę, uczniów i rosyjskie romanse.

– Brawo! – Spojrzał na nią z uznaniem. Wstał, uregulował rachunek i żegnając się dodał: – W piątek będę u cioteczki, więc około szesnastej przyjdę tu i znowu zajmę twoje miejsce. Lubię preparować flądry i kocham tego szkaradnego, żółtego krokodyla!

– Czasem chciałabym też być flądrą, a na razie jestem taka, jak ten żółty krokodyl, ciężka i niestety dużo mniej zręczna – rzuciła na pożegnanie. Patrzyła, jak nowy znajomy wdzięcznie znika w tle ulicy.

Czarny piorun sycylijski! Może do piątku mi przejdzie, pomyślała, zamawiając kolejne białe wino. Niemożliwe, by taki mężczyzna jak ten

Paweł mógł zwrócić na nią uwagę. Zwykle faceci patrzyli „przez nią” jak przez szybę. Była dla nich przezroczysta, niewidzialna, nieokreślona, jak rozmiar *no name*. Lubili jej towarzystwo, bo była odczytana, wesota, dowcipna i zawsze pogodna. Powierzali jej sekrety, prosili o radę, ale ignorowali jako kobietę.

Chłód od morza uświadomił jej, że pora wracać. Smętnie powlekła się do domu. Sapiąc, dotarła do swojej „wieży” w zabytkowym sopocim domu i... zdecydowała.

Jak zawsze pierwsze kroki skierowała do kuchni. Otworzyła lodówkę i zajrzała do środka. Wzięła dużą, mocną torbę i całą zawartość półek starannie do niej zapakowała. Dołączyła karteczkę: „To wszystko jest świeże i smaczne, ale ja od dziś świadomie z tego rezygnuję. Próbuję coś w życiu zmienić. Schudnąć!”. Zeszła na dół i powiesiła torbę na furtce przy wejściu. Zmęczona, nie zmuszała się do planowania jutra. Wyjątkowo tego dnia nie obejrzała nawet transmisji z Konkursu Chopinowskiego. Wszystko zrobiło się nagle nieważne.

Ona stała się ważna. Najważniejsza! W piątek od rana okupowała „swoją” stolicę w Żółtej Rybce. Czekwała. Przyszedł punktualnie o szesnastej. Zamówił flądrę i usiadł naprzeciwko niej.

– Jesteś – stwierdził obojętnie.

– Trudno mnie nie zauważyć – odparła równie obojętnie.

– Czy przez takie zielonoszary oczy widzisz świat na zielono? – zapytał, śmiejąc się.

– Tak, czasem jest zielony, czasem szary, a czasem... – zamyśliła się.

– Jaki, no powiedz, jaki? – dopytywał ciekawie.

– Czasem... nic nie widzę, żadnych barw. – Klara spojrzała mu w oczy, ponownie zaskoczyła ją ich doskonała czerń.

– Śledzisz może Konkurs Chopinowski? – zaskoczył ją pytaniem, wydtubując jednocześnie z uwagą ości z flądry.

– Skąd wiesz? – zdziwiła się.

– Nie wiem, zapytałem, bo szukam tematów do rozmowy.

– A ty? – odpowiedziała pytaniem.

Kolejne godziny rozmawiali o nokturnach, preludiach i walcach. O swoich ulubieńcach i faworytach do nagrody. Okazało się, że Paweł gra na fortepianie! Jego ręce skupiły jej uwagę już przy pierwszym spotkaniu. Nie pasowały do kredy i tablicy. To były dłonie pianisty!

– Do zobaczenia! – rzucił nagle, jakby coś sobie przypomniał i gwałtownie podniósł się z krzesła. – Będę we wtorek! – Nie zapytał, czy Klara przyjdzie. Wiedział. Nie wzbudzał w niej pożądania, raczej chęć rozmowy, dyskusji. Nie starał się jej uwodzić, ale imponował wiedzą na każdy prawie temat. I te jego oczy!

Do września spotykali się regularnie, dwa razy w tygodniu, pod złotym krokodylem w Złotej Rybce. Zawzięcie dyskutowali o przeczytanych książkach, operach Verdiego i ciągle nie mogli ustalić, kto lepiej śpiewa, Pavarotti czy Carreras?

Klara uparcie twierdziła, zwłaszcza po „podwójnym białym”, że najlepszy tenor to... Juan Perez! Pod koniec września z powodu brzydkiej pogody i zimna Paweł zaproponował, aby spotkania przenieść

do „cioteczki”, jak pieszczotliwie nazywał swoją podopieczną. Zgodziła się i nawet nie pomyślała o tym, by zaprosić go do siebie. „Cioteczka”, pani Janina, jak się okazało, wcale nie była niedołączna. Miała osiemdziesiąt lat, śliczne białe włosy, bystry wzrok i... talent malarski! Zajmowała „mieszkanie”, całe siedemnaście metrów, na siódmym piętrze, w sopockim wieżowcu obok przedszkola. Z okna (było tylko jedno) widać było morze, statki na redzie i molo. Na szkłe, porcelanie i drewnie farbami nitro malowała przepiękne ornamenty, twarze, kwiaty. Sprzedawała lub rozdawała te „dzieła” znajomym, dorabiając do emerytury „ze starego portfela” śmiesznie niskiej. „Opieka” Pawła polegała na parzeniu „liptonka”, wspólnym jedzeniu ciasteczek i rozmowie. Klara świetnie poczuła się w tej lekko artystycznej atmosferze dowcipów i rozmów, jak z minionej epoki. Niestety, z powodu pracy i odchudzania wolny miała tylko piątek. Zawzięta się i konsekwentnie realizowała swój plan. Przez dwa miesiące schudła prawie piętnaście kilogramów. Była zadowolona.

Paweł, jak sądziła, nie dostrzegał tego, a przecież to on był jej motywacją.

Ciągle pamiętała jego słowa: „Nie przepadam za grubymi kobietami, ty, Klaro, jesteś wyjątkiem. Sam nie wiem, co mnie tak w tobie zainteresowało i co nadal mnie tak w tobie przyciąga”. Jej fascynacja nim trwała. Nie starała się go poderwać, nie zachęcała do bliskości. Był jej potrzebny, był jej motywacją. Raz przy „liptonku” u cioteczki nieopatrznie powiedziała.

– Wiesz, to dla ciebie chudnę...

– Dla mnie? Daj spokój – odpowiedział. – Tak jest dobrze.

Pani Janina przy ciasteczkach i herbacie, patrząc na nich, ciągle powtarzała: „Jaka śliczna z was para, jak do siebie pasujecie!”.

– Pani Janeczko, przecież Paweł ma żonę, więc na wszystko za późno! – śmiała się Klara.

– Wiem, wiem, co mówię, ty tak do niego pasujesz, a on do ciebie! Taka śliczna z was para! Zawsze, w „Złotej” czy u cioteczki, siedzieli naprzeciw siebie i dzielili ich stół. Patrzyli na siebie czarnym i zielonoszarym spojrzeniem i coraz częściej pochłonięci dyskusją zapominali o istnieniu pani Janiny. Cioteczka uważnie się przysłuchiwała, nie brała udziału w rozmowie i wydawało się, realizowała jakiś własny, chytry plan.

Klara chudła rewelacyjnie. Regularnie chodziła na siłownię, masaż i saunę. Zbliżało się Boże Narodzenie. Cioteczka zaprosiła ich na karpia w galarecie i maślane ciasteczka. Paweł, odświętnie ubrany, przyniósł białe wino. Klara, po raz pierwszy od lat, wcisnęła się w spodnie i założyła śliczną, białą bluzkę. To był wspaniały wieczór! Na koniec, oczywiście po licznych westchnieniach pani Janiny, „jaka śliczna z was para”, składali sobie życzenia. Po raz pierwszy stali naprzeciw siebie i nie dzielili ich stół!

– Oj, chyba woda kipi! – Z tym okrzykiem cioteczka wybiegła do kuchni.

Stali w milczeniu, patrząc na siebie. Klara ujęła rękę Pawła, przyciągając go do siebie.

– Zaryzykuj! Obejmij mnie, zobacz, ile dla ciebie schudłam!

Nie reagował. Patrzył na nią i milczał. Jego oczy były czarniejsze niż zwykle.

– No, co się dzieje? Obejmij mnie – zachęcała, śmiejąc się głośno.

Zrobił to jakoś dziwnie niezręcznie, mechanicznie, bez słowa.

– Prawda, że dużo już schudłam?

– Tak – odpowiedział obojętnie, jakby nieobecny, zamysłony.

Złożyli sobie życzenia i ponownie rozdzielili ich stół.

Pani Janina wróciła i z okrzykiem: „niespodzianka!” i postawiła na stole kolejną butelkę białego wina. Klara patrzyła na rękę Pawła, gdy otwierał butelkę i napełniał kieliszki. Patrzyła i wyobrażała sobie, jak za kilka dni, w świąteczny wieczór, jego dłonie uwolnią dźwięki kolęd z rozklekotanego pianina. Pewnie zaprosi cioteczkę, a jego pedantyczna, perfekcyjna żona, wszystko przygotuje. Serwetki, świece, ozdoby świąteczne... Każdemu wyznaczy miejsce i powie, co ma robić. Przez chwilę przypomniała sobie milczenie Pawła i obojętny dotyk jego rąk. Tylko ten wzrok! Inny, zamysłony, nieobecny, daleki...

Nagle Paweł wstał.

– Późno już, odprowadzę cię, pożegnajmy się z cioteczką.

– Oj, oj, jaka śliczna z was para! – Rozweselona winem cioteczka pogroziła im palcem.

Wyszli na korytarz. Wsiedli do windy. Klara szczęśliwa, roześmiana, Paweł chmurny, milczący, zamysłony. Zatrzymał windę między piętrami.

– Stało się coś? – zapytała.

– Tak! – Gwałtownie, mocno przyciągnął ją do siebie i przytulił. Zupełnie inaczej niż u cioteczki. – Zwariowałem dla ciebie!

Szok! Wydało jej się, że winda ruszyła w górę, a ją dziwna siła rzuciła w jego ramiona. Zaczął ją namiętnie całować.

– Przestań, przestań, przecież masz żonę! – protestowała.

– Wiem, pamiętam, ale to jakieś szaleństwo! Śnieżna kula, nie mogę tego zatrzymać! Nie potrafię i nie chcę – szeptał, całując jej włosy.

Nacisnęła przycisk i zjechali w dół. Znowu zaczął ją całować. Nie opierała się, podjęła grę... Chłód nocy ich otrzeźwił.

– Bądź ze mną, nie odchodź, zostań, zostań... – cicho prosił Paweł.

Przywołała taksówkę.

– Odezwę się po świętach – rzuciła rozgorączkowana, podniecona na pożegnanie.

Spotkali się u cioteczki w połowie stycznia. Usiedli, jak dawniej naprzeciw siebie. Klary od sierpnia było 25 kg mniej. Dzielił ich stół, a co łączyło? Patrzył na nią i milczał. Ona patrzyła na jego dłonie i... tłumiała pożądanie! Tylko pani Janina miała świetny humor i powtarzała jak zwykle: „Jaka śliczna z was para... Jaka śliczna, jaka piękna, jak do siebie pasujecie!”.

– Pójdę do kuchni, zaparzę „liptonka” – zaproponował Paweł.

– Dla mnie, proszę, zrób kawę, taką, jak tylko ty potrafisz! – zawołała Klara i uświadomiła sobie nagle, że to zdanie... Tak, to była jej porażka!

– Klaro, proszę, pomóż mi – usłyszała po chwili z kuchni.

Oczekiwała tego i jak lunaticzka wstała i posłusznie poszła w kierunku głosu. Całował ją, powtarzając bez przerwy

– To jakieś wariactwo, hormony, feromony, szaleństwo, sam nie wiem co! Proszę, umów się ze mną, spotkaj, ugaś ten pożar!

– Dobrze, coś wymyślę – odpowiedziała. – Zadzwoń do ciebie jutro w samo południe. Pamiętaj, w południe! Nie masz komórki, więc bądź przy telefonie, czekaj, nie chcę niespodzianki. – Nazajutrz, gdy zadzwoniła natychmiast odebrał i powiedział:

– Żona wyszła, możemy swobodnie rozmawiać, ale nie będziemy mogli pokazywać się w publicznych miejscach razem. Żona od razu zaczęłaby snuć podejrzenia. – Bał się, a jednocześnie nie potrafił zrezygnować z szansy spotkania.

– To w końcu gdzie, skoro kino i knajpy odpadają? – niecierpliwiła się Klara.

– Na cmentarzu, za pięć osiemnasta – odpowiedział.

Klara zgłupiała, myślała, że się przestyszała.

– To jakiś żart? – zapytała.

– Nie, spotkajmy się na starym cmentarzu, przy krzyżu, za pięć osiemnasta – powtórzył. – Tam wysoko, doskonale widać wszystko. Migoczące, jak płomyki dusz światełka, a niżej przejeżdżające autobusy i ruchliwą, pełną życia ulicę.

– Paweł, ty tak poważnie?

– Tak – potwierdził.

Zgodziła się, zaintrygowana miejscem, spragniona Pawła i jego bliskości.

Czekał na nią w ciemności, obejmował niezręcznie i niecierpliwie, namiętnie, całował. Podał jej rękę i poprowadził wąskimi ścieżkami pomiędzy grobami, w górę. Nie bała się.

– Staśmy za drzewem, bo może nas ktoś zobaczyć – denerwował się.

– W tych ciemnościach i tak wysoko? Jak? To niemożliwe – uspokajała go łagodnie.

– Wiesz, moja żona o tej porze wraca z pracy i przesiada się tu w inny autobus, a ona jest piekielnie zazdrosna...

Stali na szczycie cmentarnego wzgórza. Przytuleni, w milczeniu patrzyli na płomyki świec i przejeżdżające autobusy. Tak się zaczęły i skończyły romantyczne randki z Pawłem. Wydawać się mogło, że to już koniec, ale Klara nie taki sobie ułożyła scenariusz. Paweł był praktykującym i głęboko wierzącym katolikiem. Śledziła jego wewnętrzną walkę z dekalogiem, zwłaszcza z szóstym przykazaniem. Wciągnę go do łóżka, a później...

Czy to ważne co później? – zastanawiała się. Nadal chudła, chodziła na siłownię i wmawiała sobie, że robi to dla niego. Codziennie „w samo południe” wykręcała numer jego telefonu, rozmawiała z nim, a w piątki spotykali się u cioteczki. Przynosiła do cioteczki nagrania oper Verdiego z namiętnym głosem Juana Pereza i wspólnie słuchali „Tu sei Regina”...

Widziała rozterki Pawła. Miotał się, jak ryba na piasku. Przykazania walczyły z żądzą. Rozsadzało go pożądanie. Widziała to, czuła i nie chciała zrezygnować. Patrzył, jakby nieobecny tymi czarnymi oczami, wyciągał błagalnie ręce, a ona?

Zbliżał się maj i jej pięćdziesiąte urodziny. Spotykali się regularnie w piątki u pani Janiny, ale Klara po „randce” na cmentarzu odmawiała kolejnych spotkań. Paweł szalał. Celowo wyjechała na tydzień w góry, skąd napisała do niego, na adres cioteczki, namiętny list.

– Dlaczego tak ryzykujesz? – Niespokojny, podenerwowany robił jej wymówki po powrocie. – Przecież moja żona też odwiedza cioteczkę i ma klucz do skrzynki.

– To niech ma, niech otworzy! – śmiała się Klara.

W końcu nadszedł majowy dzień jej urodzin. Klara wynajęła pokój w hotelu na obrzeżach Sopotu i tam się spotkali. Odchudzona o prawie pięćdziesiąt kilo, atrakcyjna i świadoma tego, „nowa” Klara i Paweł, postuszny mąż perfekcyjnej żony. Miała świadomość, że to dzięki niemu jest wolna. Odzyskała panowanie nad sobą, kontrolę nad ciałem, wiarę w siebie i siłę kobiecości. Już wiedziała, że spotkania na cmentarzu, zazdrosna żona i telefony „w samo południe”, to nie jej bajka, nie jej świat. Wracaj do niej! Pozwól się poniżyć i obrażać, a ja prawie zrealizowałam swój cel, myślała bez żalu. Kupiła na ten dzień wyjątkową bieliznę i dobrego szampana. Spóźnił się, ale nawet jego beznadziejne, pokrętnie tłumaczenie: „Wiesz, jechałem dwoma autobusami, bo może moja żona czegoś się domyśla, może mnie śledzi”, nie było w stanie zepsuć jej humoru. „Przyniosłem ci prezent”, powiedział. Sięgnął do kieszeni w marynarce i wręczył jej... mięką, pogniecioną tabliczkę czekolady. Zrobił wrażenie!

– Daj spokój, chodź, chodź, chodź... – Roześmiana, rozbawiona, pociągnęła go do pokoju. Nie opierał się, wylądowali w łóżku. Nie był specjalnie odkrywczy. Był spięty i nerwowy.

To nie był kosmos! W dyskusji był dużo lepszy niż w seksie. Już „po”, leżąc na łóżku, patrzyła, jak niezręcznie otwiera szampana, szybko wznosi jakiś dumny toast „za naszą szaloną miłość” i nie patrząc na nią, pośpiesznie wciąga spodnie.

– Muszę już iść, przepraszam, robi się późno, wiesz... – jękał się zażenowany.

– Tak, wiem, zazdrośna żona i zalecenia twojego spowiednika. Masz rację, wracaj, tylko może już bez zacierania śladów i bez przesiadek. Będzie szybciej – dodała ironicznie.

Klara odpuściła sobie południowe telefony do Pawła. Zobaczyli się u cioteczki po tygodniu.

– Pani Janeczko, dostałam pracę w Bieszczadach, wyjeżdżam na rok i nie będę mogła do pani przychodzić – łgała bez mrugnięcia okiem.

Zaskoczony Paweł patrzył na nią i w milczeniu pił wino. Po chwili wstał i z kuchni przyniósł kolejne, tym razem czerwone. Klara patrzyła, jak wolno, zmysłowo, napełniał kieliszki. Śledziła, tak jak kiedyś, jego dłonie, ale nie wzbudzały już w niej żadnych emocji. Piorun sycylijski zgąśł. Pożegnała się z panią Janiną i nie dopiwszy wina, wyszła nie czekając na Pawła. Dogonił ją przy windzie. Był wściekły.

– Zakończmy to! Dam sobie radę, bądź spokojna! Mam żonę i poukładane życie... mam...

– Wiem, co masz – przerwała mu Klara. – Cały czas towarzyszyła nam świadomość tego. Przeżyliśmy piękne chwile, sporo ci zawdzięczam, ale teraz już czas się pożegnać. Schudłam dla ciebie, a teraz zacznę żyć dla siebie! Obejmij mnie, proszę... – Zarzuciła mu rękę na szyję.

Uspokojony, przytulił ją, obejmując mocno w pasie. Poczuła, jak dawniej, dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Wspaniałe uczucie!

– Dzięki, Paweł, dziękuję ci za wszystko!

Nieoczekiwanie, ponownie spotkali się w grudniu, w kaplicy cmentarnej, kilka miesięcy od „wyjazdu” Klary, na pogrzebie cioteczki. Nie wiele osób żegnało panią Janinę. Spostrzegła go, gdy tylko weszła. Siedział samotnie na brzegu pustej ławki tuż przy trumnie, dziwnie zgarbiony, smutny i przygaszony. Podeszła do niego z boku.

– Smutno i przykro mi z powodu cioteczki – powiedziała. – Ucałowała go w policzek i odeszła. Usiadła gdzieś z tyłu i przymknęła oczy. W skupieniu wracała myślami do pani Janiny i małego, pachnącego farbami nitro mieszkania, w którym tyle się wydarzyło.

– Nie potrzebujemy pani współczucia, damy sobie radę, proszę zostawić mojego męża... – Usłyszała nagle tuż przy uchu kobiety głos przypominający syk jadowitego węża.

Pochłonięta wspomnieniami nie zareagowała. Nawet nie otworzyła oczu, by spojrzeć, kto zakłóca powagę pożegnania. Domyśliła się, że to „perfekcyjna” żona Pawła. Widocznie, nawet w tak trudnej dla niego chwili, tylko takie „wsparcie” mogła mu dać. Żałowana scena. Klara wiedziała, że dała Pawłowi wszystko, co mogła najlepsze.

Pozwoliła mu przez chwilę uwierzyć, że można pożądać, kochać i spełniać się przy boku kobiety. Której? Zawsze jest wybór i decyzja. Sprawiała, że dał porwać się uczuciom i chociaż na krótko miał poczucie, jak ważne w życiu jest porozumienie dusz, seks i miłość.

Rozdział odchudzanie, telefony w „samo południe” i randki na cmentarzu zamknęła bezpowrotnie i na zawsze. Zachowa dobre wspomnienia wspólnych spotkań i ostrych, ciekawych dyskusji u cioteczki przy „liptonku” i winie. Zapamięta Pawła wrażliwość na muzykę, niezwykłą czerń oczu, jego rozdarcie między „chcę” i „nie powinienem”. Niemożność wyboru, trudną, wewnętrzną walkę o zakazany, jakże pożądany owoc.

Czasem tylko, gdy Juan Perez śpiewa dla niej „Tu sei Regina”, przymyka oczy i czuje ciepło obejmujących ją dłoni Pawła i jego namiętne, dzikie pożądanie. Nie zniszczy tych wspomnień tylko zamknie, jak dzina w wazie. Może kiedyś uwolni...?

MATEUSZ

Złota Rybka, początek lata. Klara siedziała sama przy „swoim” stoliku. Piła podwójne białe i... uparcie wracała myślami do wydarzeń minionego roku. Dźwięk kropel majowego deszczu i on, młody, przystojny mężczyzna. To od niego po raz pierwszy w życiu dostała w lutym, w środku zimy, kwiaty piękniejsze niż marzenie. Zaskoczył ją. Cieszyła się jak nastolatka urodą tego bukietu. Miała ochotę śpiewać i tańczyć. Pójść na Monte Cassino i wszystkim tę radość i wspaniałość barw kwiatowych pokazać. Pamięta to, jakby wydarzyło się wczoraj...

Dźwięk domofonu przerwał monotonię zimowego popołudnia. Niechętnie odłożyła książkę.

– To ja! Jestem tu i bardzo, bardzo pragnę, cię zobaczyć – usłyszała. Otworzyła drzwi.

Młody, roześmiany, delikatny, jak *viola silvestris* chłopak, z ogromnym, zastaniającym go, bajecznie kolorowym bukietem, usiłował wcisnąć się do mieszkania. Poznała go na peronie w Sopocie. Podszedł do niej, taki młody, zagubiony i bezradny. Zapytał, jak może dojechać na Wyspę Sobieszewską do rezerwatu Ptasi Raj.

– Dlaczego tam? Jest pan ornitologiem?

– Nie, jestem inżynierem, projektuję autostrady. Chcę zaprojektować przepusty dla nietoperzy, lubię je i chcę o nie dbać, więc muszę poznać ich zwyczaje. Już na początku się pogubiłem – roześmiał się.

– Wracam z Oliwy, byłem tam w ZOO, ale pomyliłem pociągi i zamiast w Gdańsku wylądowałem w Sopocie. Jest późny wieczór i co dalej? Powinienem jechać, zostać, wracać... – zastanawiał się głośno. – Nie wiem, co mam zrobić.

– Powinien pan, chce czy musi? – zainteresowała się Klara.

Patrzył na nią z oczekiwaniem.

– Pomogę panu. Z dojazdem na wyspę o tej godzinie jest kłopot, ale świetnie się składa, bo u mnie w starym, ponad stuletnim sopockim domu, mieszkają trzy nietoperze: Edek, Janek i Franek. Ma pan niepowtarzalną szansę poznać ich zwyczaje. Mam duże, dwupoziomowe mieszkanie. Mieszkam sama, więc mogę jeszcze zaproponować zimną szkołę przetrwania, bo piec gazowy się zepsuł. Wyjątkowo mogę przechować pana do jutra.

– Dziękuję, dziękuję pani! Ale przypadek! Co za spotkanie! – ponownie się roześmiał.

Klara, patrząc na niego, uświadomiła sobie nagle, że od czasu Pawła i swojej nowej sylwetki po raz pierwszy zainteresowała się mężczyzną. I to jakim! Pościeliła mu na tapczanie w salonie na dole. Wyjaśniła, że właśnie tam najlepiej słyszą nietoperze i wróciła na górę. Z lodówki wyjęła białe wino i ser. Zapaliła kilka pachnących świec, owinęła się grubym kocem, usiadła w fotelu i zapatrzyła w granatowe, pełne gwiazd niebo. Poczwała dziwny spokój, rozmarzenie i... zimno. Poszła spać, nie otwierając butelki. Spała spokojnie mimo obecności młodego „nietoperza” na dole. Spotkali się w kuchni o szóstej rano.

– Poznał pan nietoperzowe trio? – zapytała, robiąc kawę.

Roześmiał się głośno.

– Nie, spałem jak niedźwiedź zimą! – Nagle spowaźniał i zastanowił się, jak zwykle na głos. – To dziwnie zastanawiające. Spałem tu, a nawet nie wiem, jak pani ma na imię. Tymczasowo pożyczyłem dla pani, tak na własny użytek, imię „Płomykówka”, od ślicznej sówki. Może być? – Patrzył wyczekująco. – To z powodu pani wyjątkowych, szarozielonych oczu. Jestem oszołomiony, zauroczony, szczęśliwy i wyspany! – Ponownie się roześmiał. Zamilkł i patrzył na nią wyczekująco.

– Dokonajmy wobec tego szybkiej wymiany danych osobowych i sio! Powinam, muszę, nie chcę iść do pracy... – Naśladując go, proponowała rozbawiona Klara, wywołując ponownie śmiech tropiciela nietoperzy. Tak imię Mateusz zagościło w jej mieszkaniu i w myślach.

– Pakuj się, wychodzimy – ponaglała. Znowu się „zawiesił”.

– Muszę, nie chcę, powinienem – rozważał głośno, cały czas wpatrzonej w jej oczy. – Wiem! – zawołał nagle. – Sam nie znajdę drogi do rezerwatu, ale... wrócę tu niebawem, jeśli pozwolisz, a teraz wracam do Warszawy. Do zobaczenia! – Usłyszała, gdy zbiegał ze schodów. – Dziękuję za pomoc!

Za tydzień powrócił z tym wspaniałym naręczem kwiatów i wielką butelką Tullamor Dew, jej ulubioną irlandzką whisky. Skąd wiedział?

– Jestem przejazdem. Musiałem, powinienem, chciałem, nie mogłem... – Jak poprzednio, miotał się w doborze właściwego słowa.

Patrzyła na niego szczerze rozbawiona.

– Tak! Nie mogłem doczekać się spotkania z tobą! Nie, nie będę nocował, za kilka godzin wracam. Przez cały ubiegły tydzień twoje szarozielone spojrzenie mi towarzyszyło.

– To bardzo miłe, ale przecież prawie się nie znamy, że nie wspomnę o wieku. – Dziwnie zakłopotana i speszona Klara próbowała przerwać rozmowę. – Skoro już jesteś, to zapraszam cię do „nietoperzowa” na drinka – powiedziała nieoczekiwanie.

„Przegadali” pół butelki whisky i kilka wspaniałych godzin. Po północy roześmiany, szczęśliwy „muszę, powinienem, nie chcę” Mateusz zamówił taksówkę, pożegnał się i wyszedł. Nie zatrzymywała go.

– W maju mam urodziny, jesteś zaproszony! – zawołała, gdy w pośpiechu zamykał drzwi.

Egzaltowany chłopak, wkrótce mu przejdzie, zapomni, myślała.

Przez następny tydzień zajmujący pół stołu bukiet przypominał jej, że to wszystko nie było sennym marzeniem. Obłądnie pachniały lewkonie, wabiły kolorem storczyki, strelacje i kwiaty, których nazw nie znała. Dni wypełniała pracą, chodzeniem na siłownię i czekaniem na wiosnę. Dla niej wiosna to były bociany, szparagi, białe wino, magnolie i... miłość. Coraz mniej myślała o Mateuszu. Był taki młody! On jednak dotrzymał słowa i przyjechał.

Szalał maj. Za oknem kwitły nieśmiało kasztany i delikatnie szumiało morze. Siedziała obok niego i słuchała zachwycona. Każde jego słowo wibrowało w niej i drgało. Patrzyła i chłonęła zapach kolejnego, tym razem urodzinowego, przepięknego bukietu. Rozmawiali, jedli szparagi,

pili białe wino. Czas się zatrzymał. Zniknęły kwiaty i morze... Wszystko nagle przestało istnieć. Mateusz mówił jej słowa, których nie słyszała od dawna. Zaskoczona, oszołomiona winem, postanowiła odpocząć. Zostawiła go na chwilę i poszła przebrać się w piżamę. Mówiła mu dobranoc, gdy niespodziewanie gwałtowna majowa ulewa zadzwięczała po parapetach i dachu.

– Chodź ze mną nad morze! Teraz! – Złapał ją za rękę i pociągnął do wyjścia.

Opierała się.

– Jestem w piżamie – protestowała.

– Chodź, chodź... proszę.

Zauroczona chwilą, pozwoliła się porwać.

Wyszli z domu. Piżama przemokła po kilku sekundach i Klara chciała wracać.

Mateusz cały mokry przyciągnął ją gwałtownie do siebie i w strugach deszczu namiętnie całował.

Oniemiała. Tego się nie spodziewała! Wrócili do domu. Zaskoczona nie protestowała, gdy niecierpliwie ściągał z niej przemoczoną piżamę. Był pobudzony, delikatny, namiętny, czuły i taki bezwstydnym! To był zupełnie inny Mateusz! Bez rozterek i wątpliwości! Poddała się i pozwoliła porwać w kosmos! Rano pierwsza wysunęła się spod kołdry i, omijając porzucane części jego garderoby, dotarła do kuchni. Zapach kawy zwałił Mateusza. Usiedli naprzeciw siebie przy stole i długo w milczeniu, patrząc sobie w oczy, pili kawę.

Kolejny mężczyzna, od którego znowu oddziela mnie stół, pomyślała Klara, wściekła na siebie, wino, maj, deszcz i szparagi. Nie zastanawiała się, co myśli Mateusz.

– Przepraszam cię, idę teraz pod prysznic, a ty raczej nie licz na obiad z przerwą na seks – rzuciła brutalnie.

Weszła do kabiny. Długo i starannie myła włosy, lała strumienie wody. Chłodna woda przywracała zdolność myślenia. Mateusz był od niej ponad dwadzieścia lat młodszy! Klara nie wiedziała, co ma dalej zrobić, jak się zachować. Postanowiła zdać się na los, a ten okazał się niezwykle łaskawy. Po godzinie, gdy owinięta ręcznikiem, trochę uspokojona weszła do kuchni, Mateusza już tam nie zastała. Na stole pozostawił krótki list:

Klaro! Sówko Płomykówko! Nie przyjechałem tu ponownie dla nietoperzy! Nieważne, co pomyślisz! Oszalałem? Zwariowałem? Nazwij to, jak chcesz. Nie spotkałem dotąd takiej kobiety! Nigdy nie zapomnę tego, co mi ofiarowałaś! Serdecznie i spontanicznie!

Ciągle się zastanawiam, jaki los nas połączył. Przypadek? Nietoperze? Deszcz?

Znikam bezszelestnie jak nietoperz. Rozumiem Twoje rozterki. Może kiedyś mnie wezwiesz? Zatęsknisz? Powrócę wtedy miłością, majowym deszczem, szaloną nocą i łagodną falą...

Kilkakrotnie czytała ten krótki list i płakała. To jej wina! Nie powinna tak ulegać emocjom! Fakt, były jej urodziny i nikt, tylko Mateusz, o nich pamiętał. Było jej wstyd i nie wiedziała, jak wytłumaczyć swoje zachowanie i to nocne, namiętne szaleństwo. Nie poszła do pracy. Wróciła do łóżka i długo leżała z zamkniętymi oczami. Nie znalazła dla siebie żadnego usprawiedliwienia. Krótki, niespokojny sen przerwał niecierpliwym dzwonek. W panice podeszła do drzwi. Wrócił? Zapomniał czegoś?

– Proszę otworzyć, mam dla pani Klary przesyłkę. Jest pani tam?

Uchyliła drzwi. Postaniec z kwaciarni usiłował wręczyć jej ogromny, kolorowy bukiet i jakąś torbę.

– Proszę pokwitować. Gdzie mam to położyć? – zapytał i wskazał na kwiaty. – Widzę, że na stole nie ma już miejsca, to może na łóżku?

– Tak, dziękuję.

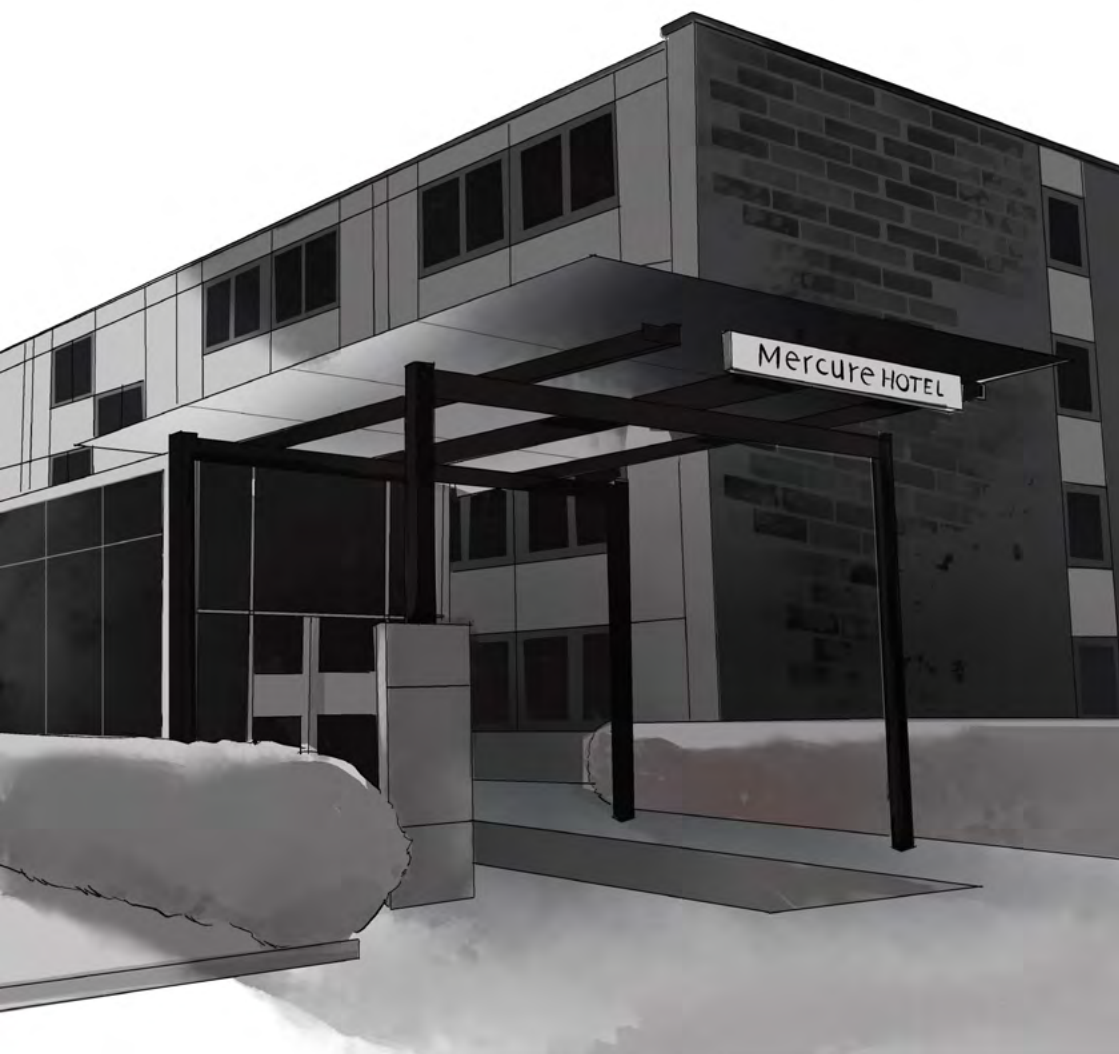
W co ja się wpakowałam? Co robić? Powinnam chyba nie przyjmować tych kwiatów i odesłać je. Jak ja się zachowuję! Usiadła na łóżku obok bukietu i zajrzała do torby. W środku była duża butelka Tullamor Dew i list.

Każdy kwiat ma numer i literę. Postaraj się ułożyć z nich to, czego nie mam odwagi Ci powiedzieć. Dlaczego Tullamor Dew? Bo to Irlandia. Tam, w Sirocco's Italian Restaurant (pamiętam, że lubisz włoską kuchnię i irlandzką whisky), kiedyś, nie wiem kiedy, w maju się spotkamy! Będę cierpliwie każdego roku, na Ciebie czekał! Kocham Cię

Płacząc, roztrzęsiona, wyjmowała kwiaty z bukietu i układała je, starając się odczytać to, co chciał, czego nie mógł lub nie potrafił jej powiedzieć. Nad ranem z łóżka na podłogę spływał kwiatowy napis: „Kocham Cię! Będę czekał!”. Na nią będzie czekał? W Irlandii? W maju? Kiedy? Za dużo było znaków zapytania. Nie ogarniała tego. Postanowiła wziąć dodatkowe lekcje i tłumaczenia. Pracować! Pracować! Zapomnieć o Mateuszu i wszystkich mężczyznach świata! Tak jest dobrze, powtarzała, tak ma być! Mateusz zniknął tak nagle, jak gwałtownie pojawił się w jej życiu. Jego milczenie znacznie ułatwiało proces zapominania. Chodziła nadal na siłownię, do sauny i na basen, ale unikała mężczyzn. Jej ulubiony hotel Marina szykował się do remontu i reorganizacji. Miał stać się częścią jakiejś francuskiej grupy hotelowej.

Bez entuzjazmu postanowiła na jakiś czas przenieść się do Posej-dona, hotelu w Jelitkowie. Basen był tam większy, sauna gorsza, a siłownia tuż przy basenie. Trudno, trzeba będzie się jakoś przyzwyczaić i zaakceptować zmiany.

Hotel Posejdon



WENUSJANKI

Ćwiczyła już jakiś czas w Posejdonie, gdy na basenie spotkała niedużą grupę zawzięcie ćwiczących grubych kobiet. Wenusjanki bardzo ją zaintrygowały. Skąd taka nazwa? Dlaczego nie Oponki albo Mgiełki? Zastanawiała się, czy do nich nie dołączyć? Rozmawiała nawet o tym z Wiktorią, poznaną na basenie właścicielką Wenusjanek.

– Najpierw proszę spróbować, czy program będzie pani pasował i później podjąć decyzję. Wenusjanki, dlatego że dążymy do uzyskania sylwetki bogini Wenus, urealniamy marzenia. Pani pewnie ma podobnie, choć nie jest pani gruba, ma pani świętą figurę – usłyszała.

Czy mam jakieś marzenia? – zastanawiała się Klara. Nie wracała do przeszłości, nie planowała jutra. Starła się bezskutecznie zapomnieć o Mateuszu. Brała to, co przynosił kolejny dzień. Czasem tylko padający deszcz uruchamiał wspomnienia. „Będę na Ciebie czekał”, stukało po parapetach, przypominając Mateusza. Miała poczucie winy i dużo wątpliwości. Bardzo za nim tęskniła. Serce nieustannie walczyło z rozumem.

Regularnie, dwa razy w tygodniu, chodziła do Wenusjanek na zajęcia klubu odchudzania. Poznawała dziewczyny i cierpliwie słuchała opowiadań o walce z pokusami i tuszą, o wzlotach i upadkach. Znała to, przecież sama kiedyś wygrała walkę z zalewającym ją sadłem. Na razie nikomu w klubie o tym nie opowiadała. Czasem pytała Wenusjanki

o „motywację”, ale gdy padały banalne odpowiedzi, że to dla zdrowia, dla siebie, bo kręgosłup boli, a kolana wysiadają, zrezygnowała. Nieomylnie rozpoznawała, za odchudzaniem której kryje się w tle mężczyzna.

Bardzo zaprzyjaźniła się z Wiktorią, założycielką i właścicielką klubu. Kiedyś zaprosiła ją do Złotej Rybki. Przy „podwójnym białym” opowiedziała swoją historię. Powiedziała o tym, jak była gruba i jak schudła. O wątpliwościach, rozterkach, porażkach i smaku sukcesu. Odtąd razem chodziły na spotkania reklamujące klub Wenusjanek. Rozdawały ulotki, promowały ćwiczenia i wygłaszały pogadanki. Klara służyła jako „żywy” przykład zwycięstwa. Dowód, że można wygrać potyczkę, a właściwie bardzo trudną walkę z nadwagą.

Wiktoria lekko kuląta i w końcu przyznała się, że coraz bardziej dokucza jej ból biodra. Mimo skierowania zwlekała z wizytą u ortopedy. Bała się. Podświadomie czuła powagę sytuacji. Zastanawiała się, co dalej z klubem, jeśli potrzebna będzie operacja?

Na razie pozornie wszystko toczyło się zwykłym trybem. Zbliżały się wakacje. Czasem po zajęciach wędrowały plażą do Złotej. Omawiały plan ćwiczeń na kolejne zajęcia, popijały białe wino, opowiadały trochę o sobie. Wiktoria, coraz częściej z powodu bólu biodra, przyjeżdżała samochodem. Zaczęła wyraźnie utykać. W końcu poszła do ortopedy. Zmiany zwyrodnieniowe były bardzo duże. Nieunikniona okazała się operacja wszczepienia endoprotezy. Lekarz zaproponował nawet bliski termin w październiku, bo podobno ktoś zrezygnował. Zastrzegł, że jeśli Wiktoria tego nie wykorzysta, to kolejny za dwa lata.

– Klaro, poradź, co mam zrobić, znajdź jakieś wyjście – prosiła w Złotej Rybce Wiktoria, a namalowany żółty krokodyl podstuchiwał i szczyrzył zębiska. Miał swój odwieczny problem, którego nie potrafił rozwikłać, dlaczego to właśnie on jest symbolem Złotej Rybki?

Pod koniec wakacji Wiktoria kolejny raz spotkała się z Klarą przy „Wejściu 29”. Lato dobiegało słonecznego końca. Dni były wyraźnie krótsze i popołudnia chłodniejsze. Turystów było mniej i chociaż sporo stolików było wolnych, to „klubowy” był oblegany i do późnej nocy rozbrzmiewał wesołym gwarem. Stali bywalcy regularnie się tu spotykali, prowadząc przy piwie lub białym winie i frytkach ożywione dyskusje.

Klara już z daleka spostrzegła starającą się iść szybko, mocno kulającą Wiktorię.

– Słuchaj, Klaro – wołała, stojąc pod tablicą „Wejście 29”, znalazłam wyjście! – Podekscytowana, zdyszana, zajęła miejsce przy stoliku. – Zdecydowałam się! W październiku idę na operację, później rehabilitacja i perspektywa wymiany drugiego biodra. Klaro, nie dam rady... przejmiesz klub? Przemyslałam wszystko. Na pierwszych po wakacjach zajęciach poinformuję Wenusjanki. Oficjalnie rozwiążę klub i działalność, a ty zrobisz, co zechcesz! Proszę, zgódź się!

Klara zaniemówiła zmieniona w duży znak zapytania.

– Tak, nikt nie zrobi tego lepiej od ciebie, a teraz cieszymy się słońcem i wakacjami! Dwa razy „szarlotkę”! – zawołała do Agnieszki stojącej tego dnia w „oknie zdrowia”, czyli za barem.

Ten sezon zdecydowanie był „szarlotkowy”. Przepis na tego drinka Klara dostała od Wieśka, swojego pierwszego trenera, gdy zaczęła ćwiczenia na siłowni w Gdyni. Żubrówka, sok jabłkowy, plasterki cytryny i lód. Właściwie drinki powinna zamawiać imionami mężczyzn, z którymi je piła. Białe wino – Paweł, Tullamor Dew – Mateusz, szarlotka – Wiesiek. Był jeszcze krótki epizod angielski – gin z tonikiem, który piła z Christopherem.

Podobno Brytyjczycy zajęli i utrzymali Indie właśnie dzięki temu drinkowi. Chinina zawarta w toniku miała chronić ich przed malarią. Przed czym chronić miał gin? Pewnie pomagał odreagować stres. Christopher, turysta poznany przypadkowo na plaży w Sopocie, zdecydowanie mylił proporcje. Nalewał dużo więcej ginu niż toniku, co doprowadzało go do dziwnego stanu upojenia. Pewnie wyobrażał sobie, że jest w Indiach i zdobywa kolejne nieznanne terytoria. Klara po kilku spotkaniach zostawiła go z ulgą i bez żalu. Na długi czas zapomniała też o ginie. Każdy drink był dla niej jak mężczyzna. Inny, niepowtarzalny...

– Hej! Czy ty mnie słuchasz? – Głos Wiktorii wyrwał ją z zamyślenia.

Początek września. Klara, Wiktoria i Wenusjanki dziś nie ćwiczą. Siedzą w restauracji w Posejdonie. Lubią ten hotel. Kwiaty, światła, przestronny hol. Wokół duże akwaria i pluskające w nich kolorowe rybki. Dyskretna krzątanka obsługi, zapach kawy i drogich perfum dopełniają wizerunku. Kwiaty i goście hotelowi się zmieniają, ale nastrój i klimat wnętrza trwa niezmiennie. Wenusjanki z uwagą, bez entuzjazmu, słuchają Wiktorii.

Nie są zachwycone proponowanymi, dużymi zmianami. Informacja, że klub odchudzania Wenusjanki został oficjalnie rozwiązany, nie cieszy żadnej. Teraz kolej na Klarę.

– Przejmuję klub i zapraszam do kontynuacji „dzieła” w nowym, przyjaznym miejscu, niedaleko stąd, w hotelu Marina. Będę tam prowadziła Klub Nadważnych, jako że sprawa jest ważna, superważna, a właściwie nad-ważna. W planie jest gimnastyka w basenie, sauna, kąpiel solankowa, bicze wodne i... nowa trenerka, Dagny. Jesteście chętne do kontynuacji, czy może postanowicie coś innego? – zapytała.

– Nowa nazwa, bez trenerki Magdy, w innym hotelu i basenie? – zastanawiały się dziewczyny.

Po dyskusji za i przeciw podejmują decyzję. Wszystkie rezygnują. Klara nie jest tym zaskoczona, chociaż żyła się z tą grupą i trenerką. Delikatny smutek rozstania unosi się nad nimi jak zapach kawy. Żegnaj, Magdo i gościnnie Posejdonie!

Wiktoria zamawia dla wszystkich, o zgrozo, duże lody! Od października Klara zacznie nowy rozdział w swoim życiu. Całkowicie rezygnuje z pracy w szkole i zajmie się klubem. Pełna wątpliwości liczy na wsparcie i pomoc Wiktorii w pierwszych dniach prowadzenia klubu.

– Wiktorio, może pójdziemy jeszcze dziś do Budy na szarlotkę? – proponowała koleżance. – Lubię to miejsce i wiem, że ty też je polubiłaś i nawet szkaradny, żółty gad nie popsuje nam humoru.

Po chwili idą brzegiem i omawiają spotkanie, a właściwie rozstanie z Wenusjankami. Rozmowa się nie układa, bo Klara jest

podekscytowana, paplająca o nowych planach, a Wiktoria utykająca, milcząca, pochłonięta niezbyt wesołymi myślami o czekającej ją wkrótce operacji.

Złota Rybka to jest właściwe miejsce! Klara zamawia dwie podwójne „szarlotki” i pieczone ziemniaczki. Patrzą chwilę, jak Agnieszka zręcznie zonglując butelką, robi drinki. Wychodzą na istniejący od niedawna, osłonięty od wiatru, taras z widokiem na morze. Sącząc żubrówkę, słuchając wiatru i patrząc na długie, płaskie fale, cieszą się chwilą i kolorami wczesnego zmierzchu, ciszą plaży i swoją obecnością.